

RAIDERS RACE

Autor: Wojtek Wiśniewski

W „Stodole” panowało radosne ożywienie. Określenie takie częściej pasowało chyba do cmentarza niż naszej bazy, ale niestety, tym razem trudno było się z tym nie zgodzić. Może ogromna większość naszej małej społeczności była wybitnie wręcz ułahana, jednak mnie dobijała wszechobecna wesołość. Jej ponadnormatywnie głośna werbalizacja była jeszcze gorsza. Oczywiście nie spodziewałem się, że dzisiaj bóle głowy nareszcie dadzą mi spokój, ale naprawdę nie potrzebowały one żadnej pomocy, aby zamieniać mój dzień w piekło. Dziś jednak miały bardzo silne wsparcie.

- Nahay, chłopie, coś taki skwaszony, dzisiaj twój wielki dzień – tej nagłej wylewności towarzyszyło mocne poklepywanie po plecach, że o szerokim uśmiechu nie wspomnę. Najśmieszniejsze jest to, że z Mirusem wymieniałem średnio 2-3 zdawkowe zdania na miesiąc, a ten nagle zachowuje się jakbyśmy byli najlepszymi kumplami. Eh, zapowiadała się długa droga do „Chlewu”.

O ile Stodołę nazywaliśmy naszą bazę, o tyle Chlewem ochrzczona została kantyna. Gdyby mnie ktoś pytał uznałbym to za obrazę każdego szanującego się chlewu. Ale cóż, pytać nikt się nie kwapił. Nie chodzi nawet o brud czy maniery odwiedzających Chlew. To nie przeszkadzało mi w ogóle. Problem leżał w jedzeniu. Choć jedną pozytywną rzecz można jednak o nim powiedzieć. Po około tygodniu każdemu mogło wypalić kubki smakowe, a więc potem i tak już było nam wszystko jedno. Zresztą dla mnie i tak zawsze od jedzenia, ważniejsze było picie. A po chlewnych „trunkach” zawsze można było spodziewać się bardzo wiele – począwszy od ślepoty, poprzez permanentną amnezję czy miejscowy paraliż, na gwałtownej mutacji skończywszy.

- To na szczęście „Mistrzu” – tym razem zamiast poklepywania po plecach otrzymałem długi, namięty pocałunek. Byłaby to zdecydowanie lepsza opcja, gdyby nie to, że w ten oryginalny sposób szczęścia życzyła mi Ariel, prawa ręka „Grubego”, a jak głosiła plotka także jego kochanka – co tylko dowodziło po raz kolejny, że nigdy nie zrozumie kobiecych gustów. Nie mogę powiedzieć, że bym był do Ariel wrogo nastawiony, albo ona do mnie. Jednak kpiący uśmieszek niemal nigdy nie schodził z jej twarzy, a nikt nie lubi być obiektem kpin. A tym stałem się dla niej właśnie teraz. Poza tym nigdy nie spała ona z raiderami, choć tutaj ciężko się jej dziwić, to po co wzmagać swój apetyt.
- Z twoim wsparciem, jakże mógłbym przegrać, perspektywa noża w plecach zawsze dodaje człowiekowi szybkości – odpowiedziałem ironicznie i nie czekając nawet na ripostę dziewczyny ponownie ruszyłem w stronę Chlewu.

Szczęśliwie już nikt więcej po drodze mnie nie zaczepiał, dotarłem zatem na miejsce i zająłem swoje ulubione miejsce, przy końcu baru, w najciemniejszym kącie pomieszczenia. Olo, nasz kuchta, a w wolnych chwilach i barman, bez słowa postawił przede mną napelnioną do połowy szklankę. Dawno już nie korzystałem z kieliszków, jednak ostatnie ochłapy przyzwoitości nie pozwalały mi jeszcze pić prosto z butelki.

*„Musha ring dum a do dum a da.
Whack for my daddy-o,
Whack for my daddy-o.
There's whiskey in the jar-o yeah.”*

Usłyszałem refren jednego z moich ulubionych kawałków. To kolejny powód, dla którego lubiłem spędzać czas w Chlewie. To Olo „nauczył” mnie takiej muzyki dzięki czemu zawsze trafiałem tutaj na coś co lubię. Zastanawiając się przez moment nad usłyszczanymi właśnie słowami doszedłem do wniosku, że są one genialne w swej prostocie. Wiedziałem, że whiskey była jakimś dawnym alkoholem, który przy swym parszywym smaku kosztował majątek, jednak nawet jakbym chciał, to raczej nigdy go nie zasmakuję. Jednak sama idea picia ze słoika wydała mi się urzekająca. Byłby to kolejny kompromis, ale jak wszystkie poprzednie, zbliżający mnie nieubłaganie do picia z gwinta. Dzisiaj poprzestanę jednak jeszcze na szklance.

Odstawiłem szklankę na bar. Która to już była, trzecia, czwarta? Powoli zaczynałem tracić rachubę. Jednak Ivę siedzącą obok mnie zobaczyłem całkiem wyraźnie. Każda komórka mojego ciała czuła na sobie jej pełne wyrzutu i dezaprobaty spojrzenie, a ja myślałem tylko o jednym. A mianowicie zastanawiałem się czy ona faktycznie tutaj jest, czy może to tylko mój pijacki majak.

- To nie tak jak myślisz – zacząłem – ja po prostu trenuję i rozgrzewam się przez wyścigiem.

Jej milczenie było najlepszym dowodem na to, że mój argument, tak jak myślałem, był gównowo warty. A ukłucie wstydu przebiło się nawet przez gęste opary upojenia alkoholowego spowijającego mój umysł. No proszę, nie myślałem, że istnieje tak skuteczny środek wytrzeźwiający.

- Iva, ja... – nie pozwoliła mi nawet dokończyć – wstała, wymownie spoglądając jeszcze na prawie pustą już butelkę. Dlaczego ona taka jest, dlaczego w ogóle zwraca na mnie uwagę? Nie znajdowałem odpowiedzi na to nieme pytanie, ale wiedziałem jedno – nie chcę, aby odeszła myśląc o mnie to co niewątpliwie właśnie myślała.

- Proszę, nie odchodź – złapałem ją za rękę – zabrzmiałoby głupio, ale jesteś jedyną osobą, której towarzystwo mi nie przeszkadza. – Nie ma co, wiedziałem jak prawic komplementy, aż dziw, że został on tak spokojnie przyjęty. Niestety, a w tej sytuacji, to może i na szczęście, Iva uznała zapewne, że nadal jestem całkowicie pijany. Zresztą może i byłem, bo to co mówiłem nie było w moim stylu. Tym razem Iva popatrzyła już na mnie tylko z politowaniem. Ruchem niezbyt gwałtownym, ale stanowczym wyswobodziła się z mojego uścisku. Odchodząc, odwróciła się jeszcze do mnie i lekkim ruchem głowy wskazała wiszący pod sufitem, w rogu sali głośnik.

Nie wiedziałem kompletnie co chce mi przekazać. Niestety, ignorancja nie pozostała moim błogosławieństwem na długo...

- Witajcie gównołapy – „Gruby” był dzisiaj wyjątkowo miły – dzisiaj nadszedł nareszcie wasz szczęśliwy dzień. Już dziś pokonamy wrogów najbardziej niehumanitarną i okrutną bronią z naszego arsenału. – Drażniący dźwięk nie chciał przestać wylewać się z głośnika, a fakt, że siedziałem najbliżej zdecydowanie nie pomógł. – To wy jesteście naszą tajną bronią. Wystarczy, że inne klany ujrzą tylko wasze zakazane mordy. Ten traumatyczny widok tak głęboko wryje im się w mózgi i tak skutecznie przeora ich zwoje, że potem będą jedynie śliniącymi się idiotami. A to i tak jeśli tylko będą mieli szczęście. Zatem zbierać dupy w troki, za pół godziny wszyscy mają być gotowi do wymarszu. – No tak, „Raider’s Race” był dla każdego szanującego się raidera wydarzeniem roku. Nic więc dziwnego, że wyścigiem żyła cała Stodoła. Zresztą w każdej bazie było tak samo. Każdy, począwszy od pomocnika asystenta zastępcy młodszego technika, na dowódcach skończywszy, chciał w tym święcie uczestniczyć. – A Ty Hayden – skrzeczące głośniki wyrwały mnie z chwilowego zamyślenia – wypełzaj z tej

zawszonej nory, w której aktualnie się zalewasz. Za 10 minut widzę Cię w hangarze, gotowego do wymarszu.

No tak, faktycznie była już ku temu pora. Czas na spotkanie ze starym przyjacielem. Szkoda tylko, że „Gruby” będzie robił za naszą przyzwoitkę. Ale i tak cieszyłem się, że znów poczuję wiatr we... no może nie włosach, ale na pewno na pancerzu pilotując mojego celtona. I tak, nie pomyliłem się, to był MÓJ mech. Jedyne w naszym klanie posiadający swego właściciela. Nie przeszkadzało mi to, że był w gruncie rzeczy wart niewiele więcej niż kupa złomu, a wyglądał nawet chyba od kupy złomu gorzej.

Upojenie alkoholowe nie minęło jednak tak szybko i wciąż czułem, że poruszam się niekoniecznie po najkrótszej trasie. Jednak po około 10 minutach dotarłem do hangaru. Panował tutaj wyjątkowy harmider, większość techników zajęta była przygotowaniem do drogi pojazdów transportowych. Jednak przy „Roadrunnerze” też uwijały się jeszcze dwie osoby. Miałem nadzieję, że ich zdenerwowane warknięcia i krzyki oznaczały jedynie drobne problemy przy montowaniu licznych usprawnień. Choć równie dobrze oznaczać mogły poważną awarię jednego z podstawowych systemów. Wierzyłem jednak, że celton i w tym roku nie zawiedzie. Brygada RR – jak powszechnie nazywana była ekipa przygotowująca nasz start z Raider’s Race, doprowadziła go do całkiem niezłego stanu. Nie było śladu po licznych jeszcze niedawno zadrapaniach i wgnieceniach. W centralnej części pancerza, oraz w okolicy kokpitu dumnie widniało niebieskie logo serii teardrop. Zbliżając się do mecha rozpoznawałem i cicho wyliczałem poszczególne systemy odpowiadające za sprawne działanie maszyny. Swoisty „warkocz” kabli, minisytemów i ich obudowa, kryły w sobie zestaw monitorujący stan raidera wraz z systemem podtrzymywania życia używanym w ekstremalnych przypadkach. Było to także centrum łączności, a także miejsce gdzie zlokalizowane były najważniejsze systemy diagnostyczne nadzorujące sprawne funkcjonowanie mecha. Nieco poniżej, już na właściwym „ciele” maszyny, w tylnej jej części zlokalizowane było serce monitoringu, dzięki któremu raider mógł oglądać świat „oczami” celtona. Poniżej, wciąż w tylnej części, umieszczona była niewielka skrzyneczka sterująca mało istotnym na pozór systemem wentylacji. Miałem nadzieję, że dzisiaj uda mi się dowiedzieć, że system ten nie był wcale tak nieistotny. Najniżej, tuż nad zawieszeniem celtona znajdował się zespół kompensatorów, pochłaniających ogromne naciski wywierane na zawieszenie mecha.

Podczas zeszłorocznego wyścigu bardzo boleśnie przekonałem się co znaczy ich utrata. Zapewne nic by się nie stało, gdyby nie *Skok Samotności*, czyli spora rampa, dzięki której uczestnicy wyścigu są w stanie przeskoczyć rzekę płynącą poniżej. No cóż, z przeskoczeniem problemów nie miałem najmniejszych, niestety przy lądowaniu przekonałem się, że kilka chwil wcześniej, moje kompensatory zostały trafione impulsem EMP i chwilowo wyłączone. Zawieszenie „Roadrunner” zostało natychmiast zmiążdżone, a wiele innych systemów nie przetrwało efektownego upadku, który nastąpił zaraz potem. Ale trzeba przyznać, że fontanna pyłu, metalu, ceramiki i smarów jaką wzbilił mój spektakularny upadek była widokiem niezapomnianym. Tworząc takie piękno, nie żał byłoby nawet umierać, a jednak ocalałem. O ile pełna rekonwalescencja zajęła mi niecałe dwa miesiące, o tyle przywrócenie mojego mecha do stanu używalności trwało znacznie dłużej. Czego „Gruby” nigdy nie omieszkał mi wypomnieć. Ale to była przeszłość, w tym roku na pewno będzie inaczej.

Podchodząc do maszyny rzuciłem jeszcze tylko okiem na uzbrojenie, które na czas wyścigu zawsze było ograniczane jedynie do dwóch generatorów EMP ustawionych na najniższą moc. Trafienie wygenerowanym impulsem powodowało krótkotrwałe wyłączenie trafionego

systemu. Nie na dłużej niż kilka, w najlepszym wypadku kilkanaście sekund, ale czasami i to wystarczyło. Impuls też był zbyt słaby, aby spowodować wyłączenie więcej niż jednego systemu. Dlatego podczas Raider's Race tak ważna była precyzja strzału oraz właściwe planowanie. Oczywiście o tym wiedzieli jedynie doświadczeni uczestnicy, a takich, ze względu na wysoką śmiertelność nie było wielu. Ja w każdym razie przez te kilka lat, które udało mi się przeżyć, poznałem na wylot budowę celtona i najbardziej interesujące punkty, które warto wyłączać przeciwnikom podczas wyścigu. A przynajmniej taką miałem nadzieję.

- I jak, uda się go dzisiaj uruchomić? – obaj członkowie brygady RR popatrzyli na mnie z wyrzutem i niechęcią.
- Jeśli nawet, to nie dzięki Tobie – nie było tajemnicą, że mój zeszłoroczny wyczyn nie przysporzył mi zbyt wielu fanów. – Pomimo, że bardzo się starałeś, to jednak dzisiaj ruszysz do wyścigu, choć nie wiem po co tak harowaliśmy, skoro pewnie i tak w tym roku już ostatecznie zezłomujesz „Roadrunnera” – nawet obsługa techniczna używała jego imienia. W jakiś dziwny sposób dodało mi to otuchy. Uczucie jednak szybko minęło, gdy zobaczyłem, że zbliża się do nas „Gruby”.
- Widzę Obszczymordo, że jednak zdecydowałeś się pojawić. No proszę, a ja obstawiałem, że zachlejesz się ze strachu do nieprzytomności. – powoli zaczynałem żałować, że tak się właśnie nie stało. Mitch generował bowiem dźwięki o takiej intensywności, że nawet nieboszczyka rozbolełaby głowa. – Ale nie, widzę, że zdecydowałeś się raz jeszcze upokorzyć nasz klan, a technikom dać zajęcie na następny rok. Przypomnij mi, dlaczego wciąż znosisz twoją niesubordynację i partactwa? Dlaczego zamiast wylizywać kible, pilotujesz najdoskonalsze maszyny na tej planecie? – nawet technicy lekko prychnęli niepowstrzymanym śmiechem słysząc jak określony został właśnie mech, którego cudem doprowadzili do stanu używalności. Nie zbiło to jednak „Grubego” z tropu i ciągnął dalej swoją tyradę. – Zaczynam nabywać całkowitego przekonania, że nawet powierzając Ci zadanie „zalanie się w trzy dupy”, o dziwo udałoby Ci się odnieść spektakularną porażkę.
- Pytam więc jeszcze raz – dlaczego ja Cię toleruję Hayden?
- Bo potrzebujesz ujścia dla swych poetyckich zapędów, a ja stanowią doskonałą muzę? – odpaliłem bez zastanowienia. Nie chciałem dać tego po sobie poznać, ale tym razem przemowa Mitcha wytrąciła mnie nieco z równowagi. Było to co najmniej dziwne, bo miało miejsce pierwszy raz, czyżby to spotkanie z Ivą tak na mnie wpłynęło?
- Któregoś dnia się doigrasz mądralo i staniemy razem na ubitej ziemi. – uwielbiałem te starożytne zwroty „Grubego” – Ale na razie masz wyścig do wygrania. A jak Ci się to uda, w co wątpię, to nie dość, że napiszę, to i odśpiewam Ci hymn pochwalny – wyraźnie spuścił z tonu, najwidoczniej usatysfakcjonowany, że udało mu się mnie wkurzyć. – A teraz pakuj się do puszki i w drogę.

Co fakt, to fakt, nie miałem już na co czekać. Brygada RR najwyraźniej zaprzestała prób ostatnich modyfikacji, więc od tego momentu wszystko było już tylko w moich rękach. Przynajmniej metaforycznie. Do kokpitu zostałem zapakowany bardzo sprawnie, wkrótce też nastąpiło połączenie, oznaczający ponownie, tymczasową wolność od bólu. Zaraz po nim nadeszła refleksja, iż zapomniałem już jak oryginalnym doznaniem jest zespolenie z celtonem. Był to jedyny stworzony do tej pory „wheeler”, czyli mech poruszający się na kołach. Był to kolejny ze starszych modeli, może więc projektanci AMM uznali, że ta konstrukcja nie ma przed sobą przyszłości i nie warto rozwijać tej idei. Na pustkowiach jednak maszyna ta zyskała sporą popularność, czego najlepszym dowodem była zbliżająca się właśnie kolejna edycja Raider's Race. W błędzie był jednak każdy, kto uznał, że prowadzenie celtona niewiele się różni od jazdy pierwszym lepszym pojazdem bojowym. Jego wyjątkowość stanowił bowiem fakt, iż w przeciwieństwie do klasycznych pojazdów, koła

mecha nie były połączone osiami. A raider z nim zespolony musiał ogarnąć wszystkie zawłości kontrolowania czterech, samodzielnych „nóg”. Nie bez kozery drugą, po wyścigach, najpopularniejszą atrakcją zapewnianą przez celtony było obserwowanie jak radzą sobie raiderzy zespoleni z nimi po raz pierwszy. Przypominało to zachowanie szczeniaczka wrzuconego na lód. Oczywiście pod warunkiem, że szczeniaczek ważyłby kilkadziesiąt ton, a zamiast wesołych poszczekiwań, generowałby wysoce niecenzuralne, niepoprawne politycznie i społecznie opinie na temat inżynierów AMM. Nader często poruszające kwestie ich genealogii ze szczególnym uwzględnieniem żeńskiej gałęzi drzewa, niekiedy na wiele pokoleń wstecz.

Ja szczęśliwie ten etap miałem już dawno za sobą, prawda była taka, że w wheelerze czułem się najswobodniej. W największym stopniu, to właśnie było moje drugie ciało. Dzisiaj jednak dotkliwie odczuwałem długą przerwę w naszej znajomości. Jednak to nie tylko wyjście z wprawy powodowało dziwne wrażenie. Nie było to złudzenie, całe zawieszenie było znacznie twardsze, czułem się jakbym chodził na usztywnionych nogach. A do końca łudziłem się, że po zeszłorocznej wpadce nie będzie śladu. Poza tym jednak, wszystko wydawało się być sprawne. Miałem nawet wrażenie, że choć z samym zawieszeniem były kłopoty, to sam napęd krył w sobie więcej mocy. Szkoda tylko, że szybkość niekoniecznie była najważniejsza podczas Raider's Race. Paradoksalnie, najczęściej zwyciężali raiderzy, którzy przez większość wyścigu utrzymywali się z tyłu stawki. Dawało im to znacznie większą swobodę ostrzeliwania swoich przeciwników. A jako że w tylnych częściach celtonów znajdowała się kilka ważnych systemów, to ogień ten często siał spore spustoszenie. Osobiście uważałem, że trzy rzeczy są niezbędne, aby w ogóle liczyć się w stawce. Doskonale wycucie czasu, aby ruszyć do przodu w najodpowiedniejszym momencie, najlepiej gdy większość przeciwników zajęta jest sobą. Niestety nie zdarzało się to za często, wszyscy uczestnicy wyścigu mieli bowiem coś z paranoików. Przynajmniej Ci, którzy przeżyli dostatecznie długo, aby tą cechę w sobie wyrobić i nauczyli się we wszystkim szukać podstępów i spisków pozostałych zawodników. Drugą bardzo ważną rzeczą była znajomość konstrukcji celtonów. Trzeba bowiem wiedzieć, gdzie najlepiej posłać impuls elektromagnetyczny, aby w największym stopniu zaszkodził on przeciwnikowi. Oczywiście bywali zwolennicy strzelania na ślepo, jednak rzadko zdarzało się im przetrwać więcej niż jeden wyścig. Oczywiście, wiedza gdzie chce się trafić, samego trafienia jeszcze nie gwarantowała, zatem musiała iść ona w parze z dobrym okiem, jednak i ono nie zawsze gwarantowało sukcesu. I tutaj dochodzimy do cechy ostatniej i bezsprzecznie najważniejszej – do szczęścia. Bez niego nie było nawet sensu stawać na starcie, no chyba, że ktoś zapragnął mieć przewidywaną długość życia na poziomie piętnastu minut. Chociaż z drugiej strony nikt nie życie wiecznie.

Nagle, hangar przesyty został przez przeraźliwy i podnoszący włosy ni to zgrzyt, ni to pisk. Na szczęście ja od tego dźwięku byłem izolowany, jednak nie mogłem odmówić sobie przyjemności zafundowania go „Grubemu”. Dlatego też ruszyłem przy pełnym ciągu, z czymś, co kiedyś nazywane było piskiem opon. Na szczęście jednak mech opon nie posiadał, a dźwięk będący wynikiem tarcia jego kół po podłożu hangaru był łagodnie mówiąc niezapomnianym doznaniem.

„Roadrunner” był właściwie ostatnią z maszyn jaka dołączyła do kolumny marszowej. Poza mną tworzyły ją dwa spore transportery oraz nasza obstawa – dwa maksusy i cyberton. Teoretycznie podczas Raider's Race panowało całkowite zawieszenie broni, jednak klany przesadnym zaufaniem się nie darzyły. Przyjęło się zatem, że każdy klan wystawia do obstawy trzy mechy. Dzięki temu każdy pilnował każdego, a gdyby doszło do złamania zawieszenia broni, wszystkie klany obróciłyby się przeciwko wspólnemu wrogowi. Jak do tej

pory nie zdarzyło się, aby ktoś zaryzykował utarczkę ze zjednoczoną śmietanką mechów i pilotów większości klanów.

Z hangaru uniósł się właśnie niewielki, zwiadowczy lotniak, niezawodny znak, że i „Gruby” dołączył do pochodu. Mogliśmy zatem wyruszyć. Naszą bazę od areny wyścigu dzieliło na szczęście niewiele, bo około dwóch godzin drogi. Szczęśliwie nikt mnie nie zagadywał, nie silił się na przyjacielskie gesty, a i „Gruby” dawał mi na razie spokój, chociaż nie miałem wątpliwości, że jeszcze przyjdzie pożałować mi mojego drobnego wybryku w hangarze. Zdecydowałem, że czas przemarszu poświęcę na przypomnienie sobie kilku sztuczek, do których zdolne były celtony, a które w wyścigu mogły okazać się pomocne. Chodziło przede wszystkim o to, aby na powrót opanować manewrowanie wszystkimi czterema kołami. Odpowiednie zabiegi pozwalały na przykład na dokonywanie niewielkich skoków, czy też zmiany jego całkowitej wysokości czy też szerokości. Nigdy może nie byłem w tym zbyt subtelny, widywałem bowiem raiderów, których ewolucje wyglądały niczym jazda figurowa. Jednak śmiem twierdzić, że oceny za skuteczność w warunkach bojowych, a za takie należy uznać wyścig, z pewnością otrzymałbym jedno z najwyższych. Po części dzięki cechom „Roadrunnera”, tak charakterystycznym dla serii teardrops.

Po nieco ponad godzinie przypominałem sobie wszystkie moje stare sztuczki. Co prawda pozostali uczestnicy wyścigu trenowali pewnie długimi godzinami. Szlifowali nie tylko technikę jazdy, ale także strategię. Moyanie traktowali Raider's Race po macoszemu odkąd pamiętam. Wystawialiśmy reprezentację chyba tylko po to, aby zdobyć nieoficjalne rozpoznanie innych klanów. Mitch wykorzystywał każdą okazję, aby zdobyć nowe, potencjalnie cenne informacje. Ja nie narzekałem na podejście naszego klanu do wyścigów. Zresztą pewnie tylko dzięki niemu to ja stałem się naszą reprezentacją. A trening i przygotowanie? No cóż, przeszedłem dzisiaj intensywną rozgrzewkę w Chlewie. To przecież też musi się liczyć. Ciekawe kiedy zorganizowane zostaną pierwsze, międzyklanowe zawody w picciu. Przyjdzie mi wtedy zmienić dyscyplinę. Ale póki to nie nastąpi czas odzyskać utracony tytuł, co pozwoliłoby zwęglić dwa szczury jednym strzałem. Z jednej strony utarłbym nosa „Grubemu”, z drugiej być może zdobyłbym kilka punktów u Ivy. Eh, działo się ze mną coś dziwnego, po raz kolejny łapałem się na podobnych myślach. A przecież w sposób nader wyraźny działałem jej na nerwy, była ona przeciwna niemal wszystkiemu co reprezentowałem.

I na takich właśnie jałowych rozmyślaniach minęła mi reszta drogi. Kiedy przybyliśmy na miejsce kazało się, że jesteśmy ostatni. Szczęśliwie nie pozostało wiele czasu do wyścigu, miałem się jeszcze tylko stawić na sprawdzanie broni. Była to standardowa procedura wykluczająca możliwość nieuczciwej walki. Jedną ze świętych zasad Raider's Race było to, że każdy generator emp ustawiony był na minimum mocy, a inne bronie były niedozwolone. Gdy kończyłem ustawiać celtona w alei serwisowej w celu ostatniego sprawdzenia, ożył monitor wewnątrz kokpitu.

- Pewnie powinnam Ci życzyć powodzenia? Jak myślisz? – to była Iva. Bardzo mnie to zdziwiło, choć po chwili zastanowienia wydało się oczywiste, że to ona będzie jednym z pilotów eskorty.
- Mówisz tak jakbyś miała co do tego wątpliwości. A może wolisz, abym przegrał, albo w ogóle rozbił się gdzieś na trasie? – spytałem zaczepnie i przekornie licząc na jej gorliwe zaprzeczenie.
- Czemu miałoby mieć to dla mnie jakiegokolwiek znaczenie? – pojawiające się na ekranie słowa stanowiły doskonały przykład zimnego prysznica. – Nie rozumiem po cóż ktoś wymyślił taką głupotę jak te wyścigi – kontynuowała Iva i czułem, że jest coraz bardziej

wzburzona – Po co komu dzień święto i dzień pojednania wszystkich raiderów, które co roku uświetniać musi śmierć kilkorga z nas? A może to po prostu wymyślny i spektakularny sposób na zbiorowe samobójstwa? I powiedz mi, czy nadal jesteś taki pewien, że powinnam życzyć Ci dzisiaj powodzenia?

Co prawda po całej hecy z *Enerisem* udało nam się poznać nieco lepiej, jednak wciąż Iva potrafiła mnie zaskoczyć. Wprowadzić w takie zakłopotanie, że nie byłem w stanie wykszusić jednego sensownego słowa. Najbardziej ciekawiło mnie jednak czy tylko rozmowy ze mną kończyły się takimi emocjonalnymi wybuchami w jej wykonaniu, czy może ta strona jej natury była powszechnie znana? Nigdy jednak nikogo o to nie zapytałem, nie chciałem zdradzać jej zaufania, jeśli okazałoby się, że tylko „przy mnie” jest naprawdę sobą. Chciałem pozostać dla niej kimś wyjątkowym, powiernikiem jej tajemnicy. Jednak zawsze też istniało niebezpieczeństwo, że ona po prostu lubi wprowadzać mnie w zakłopotanie, lubi obserwować moje reakcje. Bawi ją moje zapominanie języka w gębie. Zamiast jej powiernikiem, jestem być może jej maskotką. Woląłem jednak nawet nie dopuszczać do siebie myśli, że mogłaby być tak wyrachowana i perfidna.

- Nie uważasz, że nawet my poza chlebem, potrzebujemy także raz na jakiś czas igrzysk? – zdecydowałem się w końcu kontynuować dyskusję. – Poza tym nie przyjechałem tutaj dać się zabić, ale wygrać, Maleńka. – tym razem nie próbowałem nawet ukrywać prowokacji. Skłamałbym twierdząc, że nie dawało mi to przyjemności.
- Pamiętaj, że siły porządkowe bronić Cię będą tylko i wyłącznie w przypadku agresji ze strony członka innego klanu. Nikt nie kiwnie nawet palcem, jeśli to ja się Tobą zajmę czekając na to, aż zaczniesz błagać, abym przestała. – Tym razem przeklinałem fakt, że Iva zawsze porozumiewała się tylko za pomocą komunikatów pojawiających się na monitorach. Dałbym bardzo wiele, aby przekonać się, czy na końcu tej wypowiedzi pojawił się figlarny uśmiezek. W moich fantazjach pojawił się on na pewno.
- Umówmy się tak: Ty będziesz mi kibicować, a kiedy już wygram, oddam się w Twoje ręce i zrobisz ze mną co Ci się będzie żywnie podobać. – u mnie figlarny uśmiezek pojawił się na pewno. Przeszedłem nawet na przekaz głosowy, aby mieć pewność, że i Iva go usłyszy.
- Nie zamierzam nawet oglądać tego Maczo Race'u, a co dopiero kibicować komukolwiek. Nie raz już niemal udowadniałeś, że sam jesteś w stanie się przez swoją głupotę zabić, nie potrzebujesz do tego mojego dopingu. – chciałem jej powiedzieć, że to nie tak, że wyścig to dla mnie po prostu jedna więcej okazja do odcięcia się od codziennego bólu, że moja pewność siebie i pogarda dla niebezpieczeństwa to tylko poza, że jeśli tylko zechce, to zrezygnuję dla niej z udziału w zawodach. Ale było już za późno, Iva przerwała połączenie i dezaktywowała systemy łączności. Po chwili usłyszałem tylko głos obsługi technicznej...
- Wszystko sprawdzone, na starcie już na Ciebie czekają. Powodzenia Nahay, spraw, żebyśmy nie musieli się za Ciebie wstydzić. – to jeden z członków brygady RR. Tylko czy życzył mi on zwycięstwa czy może spektakularnej śmierci? Słowa Ivy szybko zaczynały wywierać na mnie wpływ. Musiałem jednak jak najszybciej otrząsnąć się z tego stanu, bo faktycznie efektowny zgon będzie wszystkim co mnie tam spotka.

Kiedy dotarłem na linię startu, stwierdziłem, że faktycznie wygląda na to, że wszyscy już są. Z zeszłego roku poznawałem jedynie kilka maszyn. Reszta składu wyglądała zatem na żółtodziobów. Wiedziałem już zatem między kim rozegra się walka o zwycięstwo. Miejmy tylko nadzieję, że nowicjusze nie będą się plątać pod kołami i powykańczają się między sobą. Jak zwykle wśród wszystkich mechów, przeważały te ozdobione zielonym logo serii treetop

oraz czarne masters of disasters. Większość raiderów uważała, że właśnie specyfika tych dwóch serii może zapewnić w decydujących momentach niezbędną przewagę. Ja osobiście za nic nie zamieniłbym wzmocnionej konstrukcji i zwiększonej siły mojego teardropa na nic innego. Ale cóż, zawsze powtarzałem „Dymaj ich, póki nie wiedzą co tracą”.

- WITAJCIE MORDY WY MOJE!! – zagrział z głośników R.J. - etatowy komentator wyścigu – pewnie już przebieracie nogami jak zakonnica na pierwszej randce w oczekiwaniu na emocje, które za chwile się tutaj rozpętają. Ale mam dla was dobrą wiadomość ćpuni adrenaliny i recydywiści rozrywki! Już niebawem rozpęta się tutaj piekło, a my znajdziemy się w niebie! Za kilka chwil Ci wspaniali mężczyźni w ich kołowych maszynach ruszą na trasę RAIDER’S RACE! – trybuny nagrodziły tą przemowę ogłuszającym rykiem wyrażającym wszystko od fanatycznego entuzjazmu po najczystsza rządzę krwi. Dość nie na miejscu zwarzywszy na pokojowy, przynajmniej w założeniu, charakter święta.
- A teraz poznajmy bohaterów dzisiejszego dnia! – Niech Iva myśli co chce, teraz czułem, że dla takich chwil warto żyć, warto być raiderem i warto reprezentować swój klan. – Do wyścigu ruszą w tym roku: panujący nam król karambolu, monarcha mocy i pan prędkości WACKO z klanu Gepararów oraz jego „Iron Jack” – to właśnie Wacko załatwił mnie w zeszłym roku, co otwarło mu drogę do zwycięstwa. Niestety z przykrością musiałem przyznać, że temu zarozumiałemu palantowi umiejętności nie brakowało. Choć w tym roku wydaje się jakiś dziwny, dawniej jadaczka mu się nie zamykała, a teraz nie odezwał się nawet słowem. No ale to nie moje zmartwienie.
- Martel, członek Skazzan powożący mechem „Killer Joy” – kontynuował prezentację R.J. – moyanin Nahay i jego „Roadrunner”, może i tym razem zaprezentuje nam coś efektownego – no proszę, czyli jeszcze o mnie pamiętają, nie wiedziałem tylko czy powinienem się wkurzać czy być z tego dumny. Tak czy inaczej wszyscy chyba traktowali naszą trójkę jako tegorocznych faworytów. Dalsze prezentacje przestałem już nawet słyszeć, teraz koncentrowałem się już tylko i wyłącznie na wyścigu, który rozpocznie się za kilka chwil.

„Well, it's one for the money,”

Zakończyła się prezentacja uczestników, a z głośników napłynęły jakże znajome i wyczekiwane przez wszystkich słowa.

„Two for the show,”

Wrzawa publiczności wzbila się jeszcze poziom wyżej i sięgnęła zenitu.

„Three to get ready,”

Nie myślałem, że to możliwe, ale publiczność została zagłuszona. Do moich uszu dochodził teraz jedynie potężny, wyczekujący pomruk będący wspólnym dziełem kilkunastu silników ogromnej mocy.

„Now go, cat, GO!!!!!”

W tym momencie wszystko ucichło, świat zamarł, a ja stałem się epicentrum tej wszechogarniającej ciszy. Wysepką spokoju, którą już zaraz zaleje ocean szaleństwa. I wtedy świat odzyskał ostrość...

Wszechobecne wycie silników powróciło, rozłożyłem szeroko ramiona i ruszyłem... Jednak ruszyłem w kierunku przeciwnym do pozostałych. Rozstawione ramiona „Roadrunnera” z impetem uderzyły w pancerze dwóch sąsiadujących mechów, tym większym, że parły one całą mocą naprzód. Siła teardropa okazała się w tej sytuacji nieoceniona i pozwoliła powalić przeciwników. Niby nic wielkiego, jednak postawienie leżącego celtona na koła było nie lada wyzwaniem, nawet dla bardzo doświadczonych pilotów. Oczywiście używając silnika grawitacyjnego można to zrobić w kilka sekund, jednak każde jego użycie podczas wyścigu karane było dyskwalifikacją. Zatem dwóch miałem z głowy, pozostało dwunastu. Bardzo żałowałem tylko, że nie mogłem startować zaraz koło Wacko i to nie on stał się moją pierwszą ofiarą. Ale cóż, kapituła wyścigu nie chciała pewnie, aby faworyci wytlukli się już na wstępie i pooddzielała nas jakimś mięsem armatnim.

Mój manewr, co prawda efektowny i skuteczny, zaowocował jednak tym, że stawka zaczęła mi się oddalać. Nie przejmowałem się tym zbyt. Kolejna rzecz, której nie rozumieli młodzi narwańcy – pozycja na czele stawki najbardziej naraża Cię na ataki. W całej historii Raider’s Race nie zdarzył się jeszcze przypadek, aby ktoś wygrał, prowadząc od startu do mety. Sprawa zwycięstwa rozstrzygała się z reguły na ostatnich kilkuset metrach.

Szybko zresztą zacząłem zbliżać się do głównej grupy. Ja miałem jeszcze chwilę spokoju, ale chłopcy widać już bawili się na całego. Niemal ciągle rozbłyski impulsów widać było nawet z daleka. Na otwartej przestrzeni, którą rozpoczynała się zawsze trasa, nieskoordynowany i przypadkowy ogień nie stanowił jednak praktycznie żadnego zagrożenia. Mógł spowolnić i nieco utrudnić, ale na pewno nie trwale zaszkodzić. Jednak nawet tutaj, Wacko i Martelowi udało się „rozstrzelać” dwóch kolejnych frajerów. Działając niczym zgrana drużyna, celnymi strzałami wyłączyli oba prawe koła mecha szarżującego na nich z lewej strony. Przezornie zwolnili, a zanim pechowy raider zorientował się co się dzieje i zredukował moc w pozostałej parze kół, było już za późno. Różnica w sile przykładanej na każdą ze stron była zbyt duża. Obserwowałem jak trafiona maszyna gwałtownie skręca, zbyt gwałtownie, aby mogła utrzymać równowagę. Kilkadziesiąt ton elektroniki, silników i wielowarstwowego, polimerowego pancerza zaryło w piaszczyste podłoże dając początek rozszalałej, choć krótkotrwałej kurzawie. Ten dziki taniec momentalnie porwał najbliższego mecha. Nic dziwnego, że nie zdążył wyhamować czy w inny sposób uniknąć niszczycielskiego zdarzenia. Wszystko to trwało najwyżej kilka sekund. I tak zostało nas w wyścigu jedenastu.

Liczba ta mogła jednak szybko ulec dalszemu obniżeniu, cała kawalkada, zbliżała się bowiem do pierwszej z rozmieszczonych na trasie atrakcji, a mianowicie do *Rozlewiska Rozpusty*. Nie wiem kto wymyślał te nazwy, ja podejrzewałem R.J.’a, jednak nie można było odmówić im specyficznego poczucia humoru. Rozlewiska nie były niczym więcej niż sporym obszarem usianym kałużami czy niewielkimi bajorkami wypełnionymi żrącym kwasem. Co prawda dla kół czy pancerza celtonów raczej nie był on zagrożeniem, jednak gdy dostawał się w jakieś zakamarki potrafił on poczynić poważne szkody rozpuszczając jakieś ważne obwody czy systemy. Stąd pewnie ta „rozpusta” w nazwie. Na szczęście ja wciąż jeszcze znajdowałem się kilkadziesiąt metrów za główną grupą, więc byłem względnie bezpieczny. Jednak po raz kolejny byłem świadkiem bardzo efektownego obrazka kiedy rozpędzone mechy wjechały na rozlewisko wzbijając fontanny niszczycielskich kropel. Widowisko uzupełniały oczywiście ciągle rozbłyski generatorów emp. Początkowo nie dało się zauważyć żadnego efektu poza wznoszącym się z każdej niemal maszyny niewielkim słupem gazu. To kwas wchodził w reakcję z powłoką pancerza, jednak wszyscy uczestnicy nadal parli naprzód. Nic nie robili sobie ze żrącej ulewy i kiedy ja właśnie wjeżdżałem w obszar Rozlewiska, oni zbliżali się już do jego końca.

Nagle zobaczyłem, że jeden z mechów z końca stawki gwałtownie zahamował, następnie zaczął się kręcić w miejscu, a jego ramiona zaczęły wykonywać gwałtowne ruchy. Wyglądał jakby opędzał się od natrętnych, gigantycznych owadów. Nie sądziłem, że to możliwe, ale wyglądało to tak, jakby jakimś sposobem kwas dostał się do kokpitu i zaczął trawić ciało pilota. Patrząc na coraz dziksze i gwałtowniejsze ewolucje maszyny domyślałem się, że nie może być to przyjemne. Kiedy go mijalem, sytuacja nieco się już uspokoiła, a pechowy celton wyglądał jakby miał drgawki. Miałem jak najgorsze przeczucia co do losu raidera. Takiej śmierci, o ile faktycznie tak się to skończyło, nie życzyłbym nikomu.

Opuszczając pierwszą z atrakcji wyścigu zdałem sobie sprawę z dwóch rzeczy. Po pierwsze umknął mi moment zniszczenia jeszcze jednego mecha. Przewrócona maszyna leżała bowiem częściowo zanurzona w największym bajorze kwasu, na samym skraju rozlewiska. Nie sposób było już nawet ocenić, co było przyczyną wykluczenia kolejnego zawodnika, bo kwas już poważnie zniekształcił bryłę pojazdu. Po drugie wiedziałem już, że najwyższy czas zbliżyć się do czołówki. Nieco po lewej stronie dostrzegłem bowiem następnego mecha. Ten był nieruchomy niczym posąg, nie było widać też na nim żadnych poważniejszych uszkodzeń, domyślałem się jednak co się stało. Kwas pewnie dotarł do jakiegoś kluczowego obwodu, zniszczył go i unieruchomił pojazd. Nie byłoby w tym nic znamionnego, gdyby nie fakt, że ten wyjątkowy przejaw niefortu dotknął Martela, przedstawiciela klanu Skazzan. Powinienem się z tego cieszyć, jeden z najgroźniejszych przeciwników właśnie odpadł, jednak oznaczało to też, że Wacko pozostał bez „dozoru” otoczony tylko jakimiś frajerami, których zbyt łatwo może pozostawić w tyle.

Na szczęście zbliżała się już następna przeszkoda, dzięki której miałem nadzieję zbliżyć się do rywali i utrudnić nieco życie najgroźniejszemu z nich. *Przystań Przyjaźni* była niemal jak dla mnie stworzona, bo po raz kolejny procentowały tutaj charakterystyki teardropa. Także tutaj nazwa mówiła wiele, choć w dość przewrotny sposób, przystań była bowiem obszarem, na którym działało specjalnie stworzone pole energetyczne, które z jednej strony ograniczało prędkość każdego mecha, a z drugiej na krótki okres czyniło z nich ogromne, przyciągające się magnesy. Często zastanawiałem się jak to jest w ogóle możliwe, ale nikt nie kwapił się z wyjaśnieniami. A jeśli już nawet jakieś szczątkowe informacje otrzymywałem, to i tak nie byłem w stanie ich zrozumieć. Technicy pewnie z czystej złośliwości posługiwali się językiem niezrozumiałym dla normalnych ludzi. Zresztą w tym momencie było to, aby jak najlepiej wykorzystać *Przystań*.

Gdy wjechałem w jej obszar poczułem silne szarpnięcie, to pole energetyczne bezpardonowo ograniczyło moją szybkość. Jednak dzięki większej mocy, moja szybkość była większa niż pozostałych uczestników. Ponadto ich spowalniało jeszcze wzajemnie przyciąganie, które doprowadziło do szepienia się kilku maszyn. Na szczęście doświadczył tego także Wacko. Po kilku chwilach zrównałem się z dwoma ostatnimi mechami. Były one zbyt daleko od siebie i od reszty stawki, aby oddziaływało na nich przyciąganie, jednak kiedy ja pojawiłem się między nimi ta sytuacja uległa zmianie. Konstrukcja „*Roadrunnera*” zazgrzytała złowieszczo kiedy oddziałujące na nią dwa pola magnetyczne zaczęły ją rozrywać. Na szczęście zanim doznałem poważniejszych uszkodzeń, dwie pozostałe maszyny były już po obu moich bokach, aby po chwili usłyszeć głuchy łoskot oznaczający zetknięcie się wszystkich trzech celtonów. Wiedziałem, że dopóki efekty działania pola nie ustąpią same, nie będziemy w stanie się rozdzielić, nawet ja nie miałem na to dostatecznej siły. Jednak moi przymusowi „przyjaciele” zaczęli się szamotać. Usłyszałem też buczenie typowe dla naszych jedynych obecnie broni. Naraz zapadła ciemność, w jednej chwili pozbawiony zostałem obrazu ze wszystkich wizorów, w które wyposażony był mech, a które pozwalały raiderowi

widzieć wszystko co działo się dookoła. Impuls musiał trafić moje centrum monitoringu, choć pamiętając zachowanie złączonych ze mną pilotów byłem gotowy iść o każdy zakład, że był to czysty przypadek. Strzał na ślepo uczynił ze mnie ślepego. Będę musiał pamiętać o tym zdaniu podczas mojej przemowy po wygranej – uśmiechnąłem się do własnych myśli. Nie wiedząc nawet czy śmiechy mnie bardziej „ślepa” ironia czy wizja przemowy w moim wykonaniu.

Paradoksalnie całe to zdarzenie wywołało u mnie dziwną wesołość, zastanawiałem się tylko kiedy zacznę chichotać bez powodu. Ale fakt pozostawał faktem – nic złego się nie stało. Zarówno moja chwilowa ślepotą, jak i usztywnienie, które czułem w nogach, a które oznaczało, że i kompensatorom się oberwało, powinny za moment minąć. Kiedy tak się stanie, a my opuścimy już Przystań, trzeba będzie udzielić lekcji pokory moim partnerom z przypadku. Po kilku chwilach faktycznie wszystko wróciło do normy, a wzrokowe i kończynowe sensacje ustąpiły. Niczym jednak nie dałem tego po sobie poznać, aby uspić czujność mojej eskorty. Zorientowałem się też, że opuściliśmy już obszar Przystani, choć wciąż byliśmy połączeni. Co mogło okazać się zgubne, zbliżaliśmy się bowiem do *Wąwozu Wspomnień*. Nazwanym tak zapewne dlatego, że po wielu raiderach, którzy do niego dotarli, pozostało jedynie wspomnienie. Teoretycznie nie było to nic strasznego, ot zwykły kręty przesmyk między dwoma skalnymi ścianami. Biorąc jednak pod uwagę prędkość z jaką każdy chciał go pokonać, oraz starania przeciwników aby to się nie udało, stawało się jasne dlaczego wąwóz był zawsze najbardziej niszczycielską spośród wszystkich urozmaiceń na tracie Raider's Race.

I właśnie tam się teraz zbliżaliśmy, nadal uprawiając swoisty trójbieg. Pozostałym już udało się porozdzielać i znikali już w wąwozie. Nam też pozostało do niego jeszcze tylko kilka chwil, a moi sąsiedzi zaczęli się nerwowo szarpać, zorientowali się bowiem, że przesmyk jest niewiele szerszy niż pojedynczy mech. Nagle momentalnie poderwałem oba ramiona, oba splunęły impulsami. Bezbłędnie trafiły one w centra monitoringu obu przeciwników. Teraz to oni zostali oślepieni. Ich próby uwolnienia się stały się jeszcze bardziej rozpaczliwe. Na szczęście także ich strzały, tym razem chybiały celu i pozostały bez efektu. Z kolei moje kolejne ciosy skierowane były przeciwko kołom. Oczywiście tak łatwy cel nie stanowił żadnego wyzwania.

I w tym momencie oddziaływanie Przystani się zakończyło. Każdy z mechów, do tej pory przykuty do „Roadrunnera” niewidzialnymi łańcuchami, teraz wystrzelił momentalnie każdy w swoim kierunku. Dla nich było już za późno, byli skazani już wtedy, gdy ich oślepiłem, wtedy po prostu jeszcze o tym nie wiedzieli. Zastanawiałem się tylko, czy odzyskali wzrok zanim niemal równocześnie wbili się w ścianę Wąwozu czy nie. Pozostało mi mieć nadzieję, że przeżyli, w sumie nie życzyłem im źle, po prostu mieli pecha. A nas zostało w wyścigu sześcioro. Choć miałem wrażenie, że zanim dotrę do końca przesmyku, będzie nas jeszcze mniej.

Tegoroczna przeprawa zapowiadała się jednak dla mnie spokojnie, jako ostatni w stawce mogłem czuć się względnie bezpieczny. To przede mną mogą rozegrać się dantejskie sceny. Skłamałbym twierdząc, że nie zamierzałem się jeszcze trochę do tego przyczynić. Zaczęło się bardzo szybko. Co prawda widziałem już mechy, które zaczęły ocierać się o ściany Wąwozu, jednak wszystkie wciąż pozostawały w grze. Wyglądało na to, że chłopcy dość bezmyślnie, i jak widać mało skutecznie, walili po kołach. Owszem, mogło to przynieść pożądane efekty, co więcej z reguły przynosiło, ale jak widać tegoroczny wyścig upływał pod znakiem wielkich farciarzy i wielkich pechowców. I znów wszystko znalazło się na mojej głowie.

Ponownie uniosłem ramię, tym razem nieco dłużej koncentrowałem się i szukałem celu, aby w końcu oddać strzał. Chciałem trafić w system wentylacji, wydawało mi się nawet, że trafiłem. Przez następne kilka sekund nic się nie działo. Kilka zaczęło przeciągać się w kilkanaście, a ja zacząłem się zastanawiać czy chybiony był ogień mojego generatora emp czy może teoria, że wyłączenie wentylacji faktycznie może być groźne. A może obie te rzeczy?

Nie, jednak nie obie. Nawet nie jedna, bowiem celton, którego miałem bezpośrednio przed sobą zaczął zbaczać na lewo. Nie dziwię się, że raider miał kłopoty, jechały przed nim cztery inne maszyny, tworząc gęstą zasłonę piachu i pyłu. A bez wentylacji, znaczna część tego przedostawała się do kokpitu. Jednak pilotowi udało się jeszcze uniknąć spotkania ze ścianą, mocno odbił w prawo. Jednak za mocno, zamiast z lewą, bliskie spotkanie nastąpiło z prawą ścianą Wąwozu. Nastąpiło ono z takim impetem, że wiedziałem, iż ubyło mi kolejnego konkurenta. Teraz jednak na mojej drodze wyrósł sporych rozmiarów wrak. Byłem jednak na to gotowy. Odpowiednio manewrując zawieszeniem udało mi się wybić w górę na czas, aby pozostawić za sobą zniszczonego mecha.

Powinien jednak uważniej obserwować co działo się nieco dalej przede mną. Tą nieuwagą mogłem teraz przypłacić życiem. Zamiast wylądować na twardym podłożu, pode mną znajdowała się kolejna uszkodzona maszyna. Nie byłem już w stanie utrzymać równowagi i zacząłem przechylać się w prawą stronę. Uniosłem ramię, odruchowo, tak jakbym chciał oprzeć się o ścianę. Jednak pęd zrobił swoje. Gdy ramię „Roadrunnera” faktycznie oparło się o ścianę Wąwozu, zostało ono niemal natychmiast wyrwane. Było to jednak szczęście w nieszczęściu, bo ten kosztowny manewr pozwolił mi utrzymać się na kołach. Zresztą nie była to chyba ostatnia ofiara skalnego przesmyku. Zobaczyłem bowiem, że Wacko właśnie przyciskał do przeciwległej ściany kolejnego przeciwnika. Celton złapany w potrzask także stracił już jedno ramię, a zaraz miał szansę stracić dużo więcej. Przed doszczętnym zniszczeniem uratował go raptowny koniec Wąwozu i ponowne wjechanie na otwartą przestrzeń. Był to ratunek przed zniszczeniem, jednak już nic nie mogło uratować tego mecha przed wykluczeniem z wyścigu. Nie był już w stanie kontynuować jazdy. I tak oto w grze pozostało nas tylko trzech, ja Wacko i nieznany mi raider zajmujący chwilowo pierwszą pozycję.

Powoli zbliżaliśmy się do końca trasy, nieubłaganie zbliżał się też więc czas ostatecznych rozstrzygnięć. Tym bardziej, że zbliżaliśmy się do *Skoku Samotności*, czyli mojego zeszlorocznego Waterloo. Tutaj nazwa oznaczać miała chyba to, że rzadko kiedy do Skoku docierała duża liczba zawodników, a jeszcze mniejsza go opuszczała. Wacko wyraźnie zwolnił, zrównałem się z nim, a następnie wyprzedziłem. Miałem nadzieję że w tym roku spróbuje raz jeszcze mnie upokorzyć i załatwić tak samo jak poprzednio. Tym razem jednak byłem na to przygotowany. Pozostawała wciąż jednak kwestia lidera, który z kolei wyraźnie przyspieszył. Czuł już chyba smak wygranej, a ja miałem nadzieję, że uczyni go to nieostrożnym. W końcu nowej, świeckiej tradycji musi stać się zadość i ktoś musi skończyć swoją przygodę z wyścigiem tak efektownie jak ja poprzednio. Ja także przyspieszyłem, uniosłem ocalały generator i strzeliłem. Impuls pomknął i po sekundzie osiągnął swój cel. Kompensatory prowadzącego celtona przez następne kilkanaście sekund będą bezużyteczne. Miałem nadzieję, że jego pilot nawet nie poczuł delikatnego mrowienia i odrętwienia w okolicach stawów skokowych. Gdy tylko o tym pomyślałem, sam poczułem podobną sensację. Zatem przedstawiciel Gepardów zrobił swój ruch.

Prowadzący mech już wzbił się w powietrze, z kolei Wacko był tuż za mną. Gdy moje koła dotknęły rampy, uruchomiłem wszystkie hamulce. Miałem tylko nadzieję, że dobrze oceniłem

drogę hamowania. Obok mnie przemknął zaskoczony mój najgroźniejszy przeciwnik. Zanim i on oderwał się od rampy, zdążyłem jeszcze nieznacznie trącić ocalałym ramieniem mecha przeciwnika. Niby nie było to nic wielkiego, ale wystarczyło, aby zachwiać minimalnie równowagę „Iron Jack”. Ale gdy oderwał się on od podłoża, było już za późno na korektę ustawienia i toru lotu. Wiedziałem, że teraz tylko i wyłącznie cud mógłby uratować geparda. Miałem nadzieję, że limit cudów na dziś się już wyczerpał. Choć gdy zobaczyłem, że od krawędzi dzieliły mnie dosłownie milimetry, uświadomiłem sobie, że sam doświadczyłem, o ile nie cudu, to na pewno ogromnych ilości szczęścia.

Szybko wycofałem się z rampy, widząc tylko jeszcze kątem oka, jak pierwszy mech wbił się w podłoże. Faktycznie było to widowisko jedynie w swoim rodzaju. Dobrze, że tym razem to nie ja dostarczyłem masom takiej rozrywki. Oddaliłem się od rampy na tyle, aby być w stanie oddać spokojny skok, byłem już niemal pewien zwycięstwa. Jednak w momencie, w którym silniki ponownie zawyły, a koła wzbily falę pyłu poczułem lekkie mrowienie całego ciała. Ucichła też muzyka, która towarzyszyła mi przez cały czas. Mogło to oznaczać tylko jedno, impuls dosięgnął „warkocza” mojego mecha, ale kto...? I wtedy go zobaczyłem, maszyna wyłaniała się właśnie z Wąwozu, w okolicach piersi, a przynajmniej tak, gdzie pierś miałby człowiek, zobaczyłem spore wgniecenie. Musiał być to jeden z raiderów, których powaliłem na starcie. I chyba bardzo mnie za to nie lubił, skoro udało mu się pozbierać i jeszcze nas dopędzić. Ale wciąż był jeszcze dość daleko, nie wiem w ogóle jak wygenerował tak silny impuls, aby mnie dosięgnąć. Pewnie jego celton należał do serii masters of disasters, co pozwoliło mu wzmocnić impuls nawet kosztem teoretycznie ważniejszych systemów. Tak czy inaczej wolałem uniknąć bliższej konfrontacji, ruszyłem na pełnym ciągu w stronę rampy. Gry się wybiłem, „warkocz” w końcu odzyskał funkcjonalność, a z głośników znów popłynęła muzyka...

*„I want to get away
I want to fly away
Yeah with you yeah yeah
Oh Yeah!”*

- Oh Yeah!!!! – nie mogłem powstrzymać się, aby nie wykrzyknąć ostatnich słów.

Tym razem udało mi się wylądować bez najmniejszych problemów. Wiele satysfakcji dał mi widok „Iron Jacka” bezradnie kręcącego się w bezsensownym tańcu. I tak byłem pełen uznania dla umiejętności Wacko. Przy lądowaniu jego mech stracił tylko dwa koła i trochę się poobijał. No ale tak czy inaczej należało dopełnić jeszcze formalności. Pomknąłem w stronę mety. Od zwycięstwa dzielił mnie jeszcze tylko *Mur Marzeń*. Tutaj nazwa tłumaczyła już niemal wszystko. Faktycznie był to naturalny, skalny mur wysokości pięciu, może sześciu metrów. A o tym, że każdy uczestnik Raider’s Race marzył o pokonaniu muru też nikogo nie trzeba było przekonywać. Choć akurat ta przeszkoda była już najczęściej tylko formalnością, i nie pamiętam, aby działo się tutaj kiedyś coś ciekawego. Między innymi dlatego, że nie pamiętam, aby dotarło tutaj więcej niż dwóch raiderów jednocześnie. Tradycji zatem stanie się dziś zadość.

Gdy zbliżyłem się do muru i zacząłem się odbijać do skoku, przekonałem się, że popełniłem błąd, który wcześniej sam wykorzystałem u jednego z rywali. Pewność siebie uczyniła mnie nieuważnym, nie poczułem nawet, że system kontrolujący jedno z moich kół został wyłączony. To znów mój bezimienny, samozwańczy Nemezis zaskoczył mnie zasięgiem wygenerowanego przez siebie impulsu.

Zanim jeszcze oderwałem się od ziemi, wiedziałem, że muru nie przeskoczę. Wybicie się z trzech kół było zbyt słabe, a nawet jakby nie było, to potem i tak miałbym kłopoty z wylądowaniem. Okazało się, że nie brakło mi tak dużo, żeby pokonać przeszkodę. Jednak masywne koła uderzyły o krawędź muru. „Roadrunner” jak ścięty poleciał do przodu. Rozpaczliwym odruchem udało mi się jeszcze ustawić nieco bokiem, aby pełnego impetu uderzenia nie musiał przyjąć kokpit. Jego osłona, nadwyręzona do granic możliwości, wystrzeliła po chwili jak z katapulty. Wstrząs spowodował też rozłączenie mnie z mechem, co na kilka chwil mnie dezorientowało. Kiedy odzyskałem pełnię świadomości dostrzegłem, że linia mety znajduje się najwyżej kilkaset metrów ode mnie. Wrzawa publiczności zgromadzonej nieopodal dodała mi sił i wzmogła jeszcze determinację. Jednym ruchem wypiąłem się z uprząży, która ubezpieczała mnie w sterowni. O dziwo nawet bardzo się nie poobijałem spadając na ziemię. Podniosłem się i puściłem się sprintem w stronę mety. Nie byłem pewien czy w ogóle cokolwiek da mi dotarcie do celu. Teoretycznie był to wyścig mechów, no ale z jakiegoś powodu ta cała heca nazywa **Raider's Race**. Biegłem więc dalej jak szalony, jakby od tego zależało moje życie, a stado plujących ogniem draksonów deptało mi po piętach.

Do celu pozostało mi już nie więcej niż sto metrów gdy ziemia zadrżała. Odwróciłem się tylko po to, aby przekonać się, że jeden poobijany, rozklekotany i pędzący celton potrafi być tak samo przerażający jak drużyna draksonów. Nie miałem bowiem najmniejszych wątpliwości, że to właśnie ja znalazłem się na celowniku szarżującej maszyny. Myślałem, że nie można już biec szybciej, ale teraz czułem się, jakby dodano mi skrzydeł. Wciąż jednak nie byłem dostatecznie szybki. Miałem wrażenie, że zbliżający się mech jest jedynym poruszającym się obiektem w zasięgu wzroku. Meta przestała mieć dla mnie jakiegokolwiek znaczenie, przestałem ją dostrzegać. Straciłem poczucie czasu, każda sekunda ciągnęła się w nieskończoność. A ja miałem tylko nadzieję, że śmierć pod kołami rozpedzonej, kilkudziesięciotonowej kupy żelastwa jest szybka i bezbolesna. Skrajne wycieńczenie w końcu dało o sobie znać, potknąłem się i upadłem. Nie znalazłem już w sobie sił, aby wstać, nie zarejestrowałem nawet licznych, głębokich i teoretycznie bolesnych obtarć. Zakryłem tylko głowę rękami i czekałem na koniec. I wtedy usłyszałem grom...

... i zobaczyłem Anioła.

- No proszę, a spodziewałem się raczej podróży w dół – wyszeptałem do siebie, tak, jakby zdziwienie było jedynym co odczuwałem.

A potem stwierdziłem, że mój Anioł do złudzenia przypomina maksusa. A jeśli był to Anioł, musiał być to Anioł Zemsty. Bardzo wkurzony Anioł Zemsty, ponieważ jak na zawołanie ożyła każda jedna broń w jaką był wyposażony, a celton, który właśnie miał zrobić ze mnie miązgę, sam został dosłownie zmieciony z powierzchni ziemi. I wtedy ostatecznie straciłem świadomość.

...

Faktycznie czuwał nade mną Anioł, Anioł zamknięty w skorupie maksusa, któremu na imię Iva. Jak się okazało, udało mi się przekroczyć metę jako pierwszy. O ile na trasie wszyscy uczestnicy byli nietykalni, o tyle po zakończeniu wyścigu obowiązywały nas już zasady typowe dla wszystkich. A te nakazywały natychmiastową eliminację osobników dybiących na życie członków innych klanów. I to właśnie Iva, która zawsze wybierała najmniej brutalne rozwiązania, która nigdy, nawet podczas walki, nikogo nie zabiła, z pełną stanowczością wyegzekwowała to niepisane prawo. Wołałem nawet nie wyobrazać sobie co teraz czuła i jak

wiele ją to kosztowało. Jednak zrobiła to dla mnie, aby mnie uratować w jednej chwili poświęciła część swej duszy. A ja oddałbym teraz wszystko, aby być przy niej. Przytulić i ukołysać do snu niczym małą, bezbronną dziewczynkę.

Co do wyścigu natomiast, to, choć już mi na tym nie zależało, jednak zostałem uznany jego zwycięzcą. Nadmiernych sporów i dyskusji udało się uniknąć z tego prostego powodu, że brak było innych pretendentów. I jak zwykle to „Roadrunner” był największym poszkodowanym. No ale cóż, brygada RR z pewnością doprowadzi go jeszcze do stanu używalności. W końcu ma na to cały rok...

K O N I E C

